

**WOJCIECH
CHMIELARZ**

**ZWYKŁA
PRYZWOITOŚĆ**

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Wojciech Chmielarz

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Aniela nie chciała umierać, ale jaki miała wybór? Brakowało jej sił, żeby się ze wszystkim borykać, żeby walczyć, chodzić po sądach, prawnikach, kłócić się, udowadniać, że nic złego nie zrobiła. Poza tym dla kogo miałyby to robić? Staśka już nie było. Zmarł pięć lat wcześniej na to samo, co tysiące innych chłopów w Polsce – na wódkę i papierosy. Nie miała o to do niego żalu. Ona pochodziła z dobrego domu. Matka nauczycielka, ojciec inżynier, od pokoleń oboje z Warszawy, a losy ich rodzin były równie dramatyczne i równie krwawe, co historia stolicy. Stasiak z kolei przyjechał tutaj za robotą. Elektryk. Niby marzył całe życie o politechnice, ale zamiast na studia, musiał iść do pracy. Za to śliczny był jak Zbyszek Cybulski, podobnie nawet się nosił. Poznali się na potańcówce w klubie studenckim, gdzie Stasiak przychodził z kolegami, żeby wyrywać dziewczyny. Pracowali, mieli więc pieniądze. Robili wrażenie. Twarde, robotnicze chłopaki o spracowanych dłoniach, pachnące wodą kolońską, wódką i olejem. Tacy trochę niegrzeczni chłopcy, co to już znają życie. Wyróżniali się na tle długowłosych studentów polonistyki, historii czy filozofii. I tak jakoś się stało, że kiedy Aniela zobaczyła Staśkę, natychmiast się zakochała. Miała już

wtedy kawalera, takiego, którego akceptowali jej rodzice i który bywał u nich na proszonych obiadach. Ale co z tego, skoro serce mówiło: Stasiak. Zaczęli się spotykać. Wkrótce zaszła w ciążę. Rozważała nawet, czy nie usunąć, ale za bardzo się bała. Sama nie wiedziała czego. Kary w zaświatach? Gniewu księdza? Tego, co pomyślą rodzice – oboje przykładni katolicy, którzy w piątek mięsa do ust nie wezmą i w każdą niedzielę jeżdżą na mszę do archikatedry na Starówkę – kiedy dowiedzą się, że nie tylko się puściła i zaszła w ciążę, ale potem jeszcze jej się pozbyła? Najważniejsze chyba jednak było to dziwne poczucie odpowiedzialności wobec tej rosnącej w jej brzuchu fasolki. Nie usunęła więc, chociaż wtedy to było naprawdę łatwe.

Potem wiele razy żałowała, ale nie chciała się już nad tym rozwodzić.

Stasiak przykładny chłop, zaoszczędził pieniądze, kupił garnitur i pewnego dnia spotkał się z nią w urzędzie stanu cywilnego. Ślub kościelny wzięli później, po cichu, bo kierownik Staśka był partyjny i krzywo na takie rzeczy patrzył.

Przyznać musiała Staśkowi, że się starał. Załatwił im mieszkanie, kupował książki i nawet niektóre przeczytał. Porządnie się ubierał, w koszule i marynarki, nie do pracy oczywiście, ale jak wracał z zakładu, od razu pędził do łazienki, żeby zrzucić z siebie robotnicze ciuchy, zmyć zapach potu i smarów. Robił wszystko, żeby stać się takim zięciem, jakiego oczekiwali jej rodzice. Nigdy mu się to nie udało. Zaciskał zęby i dalej próbował zmienić się z prostego robotnika w warszawskiego dżentelmena. Tylko o wódce jakoś nie zapomniał. Takie były czasy, myślała teraz Aniela, taka praca. Wszyscy pili, to Stasiak też. Nie chciał odstawać, tyle że i niespecjalnie się przed tym bronił.

Potem emerytura, rozstał się z kumplami z roboty, ale już nie z alkoholem i papierosami. Aniela uśmiechnęła się smutno, kiedy przypomniła sobie, jak go sąsiadki wychwalały. Że taki spokojny, grzeczny, zadbany, zawsze ogolony i wyperfumowany. Nigdy im nie przyszło do głowy, że zużywał tyle wody kolońskiej, żeby zamaskować woń wódki. Aż pewnego dnia po prostu się skończył. Wszystkim mówiła, że to zawał serca, bo tak było łatwiej niż tłumaczyć, że wyniszczony alkoholem organizm powiedział: stop. I wstyd mniejszy.

O Marysi zresztą też skłamała. Powiedziała, że zginęła w wypadku samochodowym spowodowanym przez pijanego kierowcę. Chociaż nie do końca kłamała – za kierownicą siedziała Marysia, ich jedyna córeczka.

Była wtedy sama w domu. Dokąd chciała pojechać? Nikt nie wiedział. Być może po prostu po kolejną butelkę na stację benzynową. Była zima, ślisko, a ona miała za dużo na liczniku. Wypadła na zakręcie z trasy i trafiła prosto w drzewo. Dobrze, że przynajmniej nikogo nie zabiła. Aniela miała potem żal do męża Marysi, że się przeprowadzili pod Warszawę, bo jakby zostali w stolicy, to zamiast wsiadać w samochód, po prostu poszłaby do sklepu. I do Staśka miała żal, że nauczył córkę pić. Nie specjalnie, po prostu podpatrzyła.

Ale to też wydarzyło się tyle lat temu. Wydawało się jej, że nic z tego nie jest już istotne. Najgorsze, że nie miała już dla kogo walczyć. Nie było Staśka, nie było Marysi. Zostały jej jeszcze wnuki, ale po wypadku córki zięć zerwał kontakty. Może i miał w tym trochę racji, bo nagadała mu sporo nieprzyjemnych rzeczy. Gdyby mogła, toby cofnęła czas. Kilka razy już sięgała po telefon, żeby zadzwonić i przeprosić, powiedzieć, że

chciałaby tylko zobaczyć Agusię i Jacusia. Chociaż na chwilę, z daleka. Raz nawet się połączyła. Usłyszała jego chropowaty głos w słuchawce, takie zwykłe „halo”, i natychmiast strach ją obleciał. A jeszcze bardziej wstyd. Bo jakże tak, po tylu latach, i jeszcze w takiej sprawie. Odłożyła słuchawkę.

Pewnie im lepiej beze mnie, pomyślała.

Była sama. Nie chciała umierać, ale nie miała siły na to, by resztę swoich dni użerać się z oszustami, którzy postanowili odebrać jej mieszkanie.

Początkowo próbowała. Pisała listy, dzwoniła, chciała wyjaśnić, ale machina ruszyła i ona sama nawet nie wiedziała kiedy. Po prostu jednego dnia miała mieszkanie, wspomnienia i skromną emeryturę, a następnego dowiedziała się, że jest już właściwie bezdomna.

Kiedy się złamała? Chyba tamtego dnia, gdy przyszli do niej do domu. Zamknęła wtedy drzwi na wszystkie zamki, założyła łańcuch, a potem z komórką w dłoni siadła na krześle w przedpokoju i czekała, żeby nagrać, jak się włamują.

– Mam was! – krzyknęła tryumfalnie, kiedy wreszcie pokonali zamki i drzwi stanęły otworem.

Po drugiej stronie ujrzała zdumionego ślusarza w granatowym roboczym ubraniu i młodego człowieka w garniturze. Przedstawił się jako komornik, a potem wyjął z teczki jakieś dokumenty i powoli tłumaczył ich treść. Kręciło jej się w głowie i nie potrafiła oderwać wzroku od dwóch młodych policjantów, którzy przypatrywali się temu wszystkiemu ze znudzonymi minami. Jeden z nich żuł gumę. Nic z tego nie rozumiała. To byli przecież stróże prawa. Powinni jej bronić, a nie pomagać we włamaniu.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał obłudnie ten młody człowiek w garniturze.

Pokiwała głową, ale potem pozwoliła mu się wziąć pod rękę i zaprowadzić do kuchni, gdzie dostała szklankę (swoją własną) wody (ze swojego własnego kranu). Kiedy ją piła, jakiś inny mężczyzna mierzył jej mieszkanie. Wszystko kamerowała jeszcze jedna osoba, jakby chcieli mieć pamiątkę z jej upokorzenia.

Wtedy straciła nadzieję – przez tych dwóch policjantów. To właśnie wtedy się złamała i zadzwoniła do męża Marysi. Bo wiedziała, że mógłby jej pomóc. Ale kiedy usłyszała to jego chropowate „halo”, odłożyła słuchawkę. Jak by to przecież wyglądało? Po tylu latach do niego dzwoni, i od razu po prośbie. Nie była gotowa na takie upokorzenie. I dlatego postanowiła się zabić.

Przygotowywała się do tego spokojnie i metodycznie. Poszła do biblioteki, pożyczyła kilka książek, w których spodziewała się znaleźć informacje na interesujący ją temat. Żeby nie wzbudzić podejrzeń, dodała parę tanich romansów. Bibliotekarka się nie zorientowała. Posiedziała też trochę przy komputerze, odwiedzając kolejne strony internetowe, ale od tej akurat lektury zrobił jej się tylko mętlik w głowie.

Poszła do fryzjera, kupiła dwie nowe sukienki. Jedną, w której mieli ją znaleźć, i drugą do trumny. Do tego nowe czarne rajstopy i buty czólenka. Spotkała się z nielicznymi już, taki wiek, koleżankami, ale nic im nie powiedziała, bo nie zamierzała ich martwić. Ani dawać okazji, żeby próbowały ją od tego odwieść. Bo naprawdę chciała się zabić. Dla siebie, żeby wreszcie mieć spokój, żeby nie musieć się bać, że ostatnie lata spędzi, włączając się od przytułku do przytułku. Przede wszystkim jednak chciała im pokazać. I tym dwóm zdruzonym policjantom, i temu

aroganckiemu komornikowi, i tym oszustom, którzy wrobili ją w jakiś kredyt, którego w życiu na oczy nie widziała. Chciała, żeby wiedzieli, że są winni jej śmierci. Chciała być ich wyrzutem sumienia.

Dlatego zdecydowała się powiesić. We wszystkich tych mądrych książkach z biblioteki wyczytała, że kobiety najczęściej wybierają truciznę albo przedawkowują leki. Ona też się przez chwilę nad tym zastanawiała. Jak każda kobieta w tym wieku miała różnorodne schorzenia, a więc i całą baterię leków w apteczce, z których mogłaby teraz skorzystać. Ale zbuntowała się. Ona, zawsze taka elegancka i ułożona, wcale teraz nie chciała ładnie wyglądać. Wręcz przeciwnie, marzyło jej się, żeby ten, kto ją znajdzie, zobaczył coś straszego. Coś, co będzie mu się śnić do końca życia.

Kupiła więc linę. Zawiązała na niej pętlę, tak jak pokazano w podręczniku do żeglarstwa. Tę książkę też wypożyczyła z biblioteki, choć tej akurat nie oddała. Ciągle jej przecież była potrzebna. Rozumiała, że sprawia pracującym tam uroczym dziewczynom kłopot, ale to i tak chyba lepiej, niż gdyby miała wyrwać kartkę. Podręcznik przecież prędzej czy później do nich wróci.

Wzięła drabinkę malarską i zawiesiła linę na haku od lampy. Potem podstawiała krzesło. Wspięła się na nie ostrożnie. Nogi jej drżały. Ścisnęła ją w gardle, ale zdołała powstrzymać płacz. Nie chciała, żeby makijaż się rozmażał. Odetchnęła trzy razy głęboko, rozejrzała się po mieszkaniu, pomyślała, że pomimo wszystko przeżyła w nim kilka pięknych chwil, i wsunęła głowę w pętlę.

Czy chciała umierać? Nie chciała. Była stara i samotna, ale miała przed sobą jeszcze kilka lat życia. Kilka słonecznych dni,

które mogła spędzić, wygrzewając się na ławce przed blokiem. Kilka książek do przeczytania, filmów do obejrzenia. Kilka herbatki z koleżankami, zanim wszystkie po kolei powędrują na cmentarz. Chwil pomimo wszystko wartych przeżycia.

Ale nie miała siły. Po prostu nie miała siły.

Zrobiła krok do przodu. Pchnęła stopami krzesło tak, że się przewróciło. Lina zacisnęła się na jej gardle, jakby nagle zmieniała się w żywe stworzenie.

W ostatnim odruchu świadomości pomyślała, że ten, kto ją odnajdzie, bardzo się zdziwi.

Z jakiegoś powodu zrobiło jej się dzięki temu lepiej.

Dlaczego się na to w ogóle zgodziłem? Po pierwsze Wikus mimo wszystko był moim szefem. Po drugie wynajmowałem od niego mieszkanie, i to w dobrej cenie. Kiedy ktoś taki prosi cię o przysługę, musisz mieć powód, żeby odmówić. Tak naprawdę jednak chodziło o coś innego. Przez dwa tygodnie za mną chodził, powtarzając, że wielu chłopaków z klubu mnie zna, podziwia i w sumie dobrze by było, jakbym dał im dobry przykład. Pokazał, jak się powinno przygotowywać do zawodów, a przede wszystkim zachować na ringu. Nie wiedziałem, dlaczego mu na tym zależy, ale truł mi dupę tak długo, że miałem go po prostu dosyć. I tak wylądowałem na sali sportowej, na środku której ustawiono ring. Wokół niego tłoczyli się nieliczni widzowie i znacznie więcej trenerów oraz zawodników. Chłopaki i dziewczyny w różnym wieku, różnej wagi, ale nie dało się ukryć, że spośród wszystkich najstarszy byłem ja. Zwracałem na siebie uwagę. Dostrzegałem zaintrygowane spojrzenia i nie podobało mi się to, bo oznaczało, że kilka osób na pewno mnie zapamięta. W dodatku niedługo miałem stanąć na ringu, w samym centrum tego zamieszania. Poczuję się jak idiota. Na szczęście wkrótce na salę wszedł chłopak w wieku dwu-

dziestu kilku lat, dość szczupły, w puchowej kurtce z obszytym białym futrem kapturem. Miał ufarbowane na blond włosy, wytatuowaną szyję i aroganckie spojrzenie. Towarzyszyła mu jakaś znudzona dziewczyna, która tonęła w zbyt luźnym dresie i ukrywała się za wielkimi przeciwsłonecznymi okularami. Natychmiast po ich pojawieniu się sala jakby straciła zainteresowanie zawodami (a także mną) i przeniosła je na dziewczynę i chłopaka. Nie miałem pojęcia, kim oni są. Zauważyłem jednak, że ten wytatuowany dostrzegł Wikusia i skinął mu na powitanie głową. Wikuś odpowiedział tym samym gestem.

– Po tej walce wchodzisz – rzucił mój szef, który właśnie wrócił od stolika sędziowskiego.

– Załatwiłeś wszystko?

– Po starej znajomości – powiedział. – Ale nie byli szczęśliwi.

Wzruszyłem ramionami. Obserwowałem z daleka to, co się dzieje na ringu. Walczyło dwóch chłopczków. Obaj mieli bodajże po czternaście lat, byli zadziorni, charakterni i żaden nie chciał przegrać. Nieustannie się okładali, jakby nie wiedzieli, co to takiego walka w dystansie albo unik. Mieli twarze całe czerwone od uderzeń, a na ich ciałach lśniły krople potu. Po zakończonej rundzie trenerzy pośpiesznie wycierali ich ręcznikami, podawali bidony z wodą i gorączkowo coś powtarzali. Jestem pewien, że obaj mówili to samo – zwolnij, bo się zajdziesz. Żaden z chłopczków nie posłuchał. Taki wiek, kiedy wydaje ci się, że na ringu nie musisz myśleć. Wkrótce stało się to, co musiało się stać. Jeden z nich – ten w niebieskim kasku – zaczął tracić siły. Coraz wolniej się poruszał, coraz słabiej bił, a przede wszystkim nie nadążał z gardą. Początkowo przewaga tego w czarnym kasku nie była duża, ale słabszy okazał się zbyt

ambitny. Nie chciał klinzować, żeby złapać chwilę na odpoczynek, nie próbował uciekać. Wdał się w wymianę ciosów, której wynik mógł być tylko jeden.

Wkrótce walka się zakończyła. Chłopcy uciekli każdy do swojego narożnika. Obaj byli wykończeni. Przez chwilę po prostu opierali się o liny, dyszeli i pozwalali się poić wodą. Potem sędzia wywołał ich na ring. Odczytał werdykt. Walka trwała dwie rundy po dwie minuty. W pierwszej był remis, w drugiej czarny kask zdecydowanie wygrał, i to jego ręka powędrowała w górę. Na twarzy drugiego chłopaczka odmalowało się rozczarowanie, jakby naprawdę wierzył, że to on powinien zwyciężyć. Po wszystkim obaj ucisnęli sobie dłonie i pokleпали się po plecach.

– Mój zawodnik pyta, czy możecie się bić bez kasków. – Usłyszałem za swoimi plecami.

Odwrociłem się. Do Wikusia podszedł właśnie łysy mężczyzna w czarnym dresie. Dobrze zbudowany, mierzący około metra dziewięćdziesięciu. Wielki facet, który wyglądał, jakby nieco się tutaj nudził. Wikuś spojrzął na mnie pytająco.

– Może być bez kasku – odpowiedziałem.

Łysy kiwnął głową, odwrócił się na pięcie i odszedł.

– Jesteś pewien? – zapytał Wikuś.

– Ogranicza pole widzenia.

– Ale mniej boli, jak dostaniesz w łeb.

– Nie zamierzam dać się trafić – mruknąłem, żeby się odczepił.

– Jasne. Tarczki na rozgrzewkę?

Przeszliśmy na tył sali, gdzie było trochę więcej miejsca. Ściągnąłem z siebie dres i zostałem już w stroju, w którym miałem wyjść na ring – krótkie spodenki i bezrękawnik. Zawiąza-

łem taśmy, włożyłem ochraniacz na nogi i rękawice. W tym czasie Wikus wyciągnął z torby sportowej tarczki. Zrobiliśmy kilka ćwiczeń, powtórzyliśmy kombinacje ciosów. Zauważyłem, że blondyn z tatuażami uważnie nam się przygląda. Zupełnie nie zwracał uwagi na to, co dzieje się na ringu, gdzie właśnie walczyły dwie dziewczyny. Nie miałem jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo przyszła nasza kolej.

Wszedłem na ring. Wikus stanął w moim narożniku. Przywitałem się z sędzią i przeciwnikiem. Facet wyglądał na kilka lat ode mnie młodszego. Miał gęste czarne włosy i zadbaną brodę, lekko mrużył oczy, jak krótkowidz. Podobnej wagi co ja, ale byłem wyższy o jakieś dziesięć centymetrów, co oznaczało też większy zasięg ramion. Uznałem, że powinienem sobie z nim poradzić.

Nie przedstawiono nas, o co zadbał Wikus. Poinformowano tylko, w jakiej kategorii wagowej odbywa się walka, i zaczęliśmy. Trzy rundy po trzy minuty. Pierwsza na spokojnie. Nie chcieliśmy się zbyt zmęczyć na samym początku, tylko wy badać przeciwnika – co potrafi i na co go stać. Kilka wymian ciosów, z których jednak prawie wszystkie trafiały w gardę. Ja go trafiłem lewym prostym, ale za słabo, żeby zrobić mu wielką krzywdę, a przed prawym zdążył się już uchylić. Oddał mi prawym hakiem, na co z kolei ja byłem gotowy. I dobrze, bo cios okazał się naprawdę mocny. Świetnie wymierzony, zrobiony ze skrętu bioder, a nie samym ramieniem. Gdybym się nie zasłonił, byłoby ciężko. Pokopaliśmy się trochę po nogach, ale bez wielkich sukcesów. Raz mnie zmylił. Wymierzył trzy lewe proste, lekkie, które trafiały prosto w gardę – nie po to, żeby mi zrobić krzywdę, tylko odpowiednio mnie ustawić.

Potem poszedł kopniak prawą nogą, tak zwany low kick, na wysokości mojego uda. Byłem gotowy. Napiąłem mięśnie. Zabolalo, ale bez przesady. Brodacz spróbował wtedy kolejnego kopnięcia. Tym razem uniosłem nogę, żeby przyjąć cios na ochraniacz na piszczeli, on jednak, zamiast posłać mi low kicka, przeniósł stopę nad moim udem i kopnął mnie prosto w brzuch od frontu. W ostatniej chwili spiąłem mięśnie. Poczuję, jak uderza, i w tym momencie opuściłem uniesioną ciągle nogę, robiąc równocześnie krok do przodu. Uderzyłem prawym prostym. Mocny cios. Trafił w gardę, ale nie szkodzi. Chodziło mi o to, żeby go lekko przepchnąć, sprawić, by stracił równowagę. Potem zadawałem kolejne ciosy. Lewy prosty, prawy prosty, sierp, podbródkowy. Jeden za drugim, nie dając mu chwili na oddech i odpoczynek. Krótkowidz cofał się pod tą nawałą, z twarzą schowaną za rękawicami, nie widział więc, co robię. A ja zwolniłem, poczekałem, aż między nami będzie odpowiedni dystans, i uderzyłem go stopą prosto w brzuch. Trafiłem. Nie był gotowy. Zobaczyłem jeszcze, jak po jego twarzy przebiega grymas bólu, a potem poleciał na liny.

W tej chwili rozległ się gong. Koniec rundy. Odwróciłem się i poszedłem do swojego narożnika. Pozwoliłem, by Wikuś wyjął mi ochraniacz na zęby z ust i napoił wodą z bidonu.

– Lekkie wskazanie na ciebie – powiedział. – Powinieneś dostać tę rundę.

– Wiem – mruknąłem.

– Wykończ go teraz.

– Co?

– Druga runda. Pod koniec pierwszej już go miałeś. Jedziesz z frajerem.

Przechyliłem się, żeby wyrzeć zza Wikusia, który stał przede mną i zasłaniał mi widok na narożnik krótkowidza. Kiedy tylko to zrobiłem, poczułem, jak Wikuś wymierza mi siarczysty policzek.

– Skup się, kurwa! – warknął. – Przyjechałeś tu się głaskać czy napierdalać?

– Napierdalać – mruknąłem.

Nie rozumiałem, dlaczego zaczął się tak spinać. To były małe, lokalne zawody, a nie żadna walka o mistrzostwo świata.

– To jedziesz frajera i kończysz w tej rundzie.

Pozwolił mi się jeszcze napić. Potem wsadził ochraniacz do ust, potar mosiężną po głowie i w tej samej chwili rozległ się gong. Wikuś zszedł z ringu. Wydawało mi się, że zerknął w stronę wytatuowanego blondyna i jego dziewczyny, ale nie byłem pewien.

Uderzyliśmy się lekko rękawicami z krótkowidzem na przywitanie i zaczęliśmy kolejne starcie. Tym razem wszedł na znacznie wyższe obroty, a ja poczułem, że jednak go nie doceniałem. Nieustannie się poruszał wokół mnie, uderzając lewymi z każdej możliwej strony. Odskakiwał, a potem doskakiwał z kombinacjami ciosów. Próbowałem go kontrować, ale skubany był po prostu za szybki. Moje ciosy albo lądowały prosto na jego gardzie, albo zdecydowanie za często przecinały powietrze. Krótkowidz był już wtedy gdzie indziej i szykował się do kolejnego ataku. Nie wyglądało to dla mnie zbyt dobrze, ale wbrew pozorom zachowywałem spokój. Nie da się za długo walczyć tak intensywnie. Musiałem go tylko przeczekać, nie pozwolić sobie zrobić za dużej krzywdy i uderzyć, kiedy się zmęczy. Pomyślałem, że Wikuś ma rację. Mogłem to zakończyć już w tej rundzie.

Wreszcie dostrzegłem swoją szansę. Ciężej oddychał, wolniej odskakiwał, ciosy były słabsze. Mogłem działać. Najpierw lewy prosty, niespecjalnie mocny, tylko po to, żeby założył gardę. Równocześnie ruch prawą nogą do przodu na skos i kopnięcie lewą w jego lewą łydkę. Jeśli straci równowagę, to dobrze. Jeśli go zaboli, jeszcze lepiej. Ale najważniejsze było to, żeby się znalazł w odpowiedniej pozycji. Żebym miał przestrzeń do wymierzenia dwóch ciosów, które go powalą. Najpierw tak zwany backfist. Lewa stopa staje bokiem, mniej więcej na wysokości prawej. W tym momencie mam mocno skręcone biodra, co wykorzystuję do tego, żeby zrobić pełen obrót. Nabieram pędu, żeby uderzyć prawą pięścią prosto w głowę przeciwnika. Dobrze wykonany backfist jest szybki, jest mocny, jest zaskakujący. Ale nawet jeśli nie trafię czysto, mam jeszcze zwieńczenie tej kombinacji – cios kolanem natychmiast po backfście, kiedy ręce przeciwnika są uniesione, a brzuch niechroniony. Tyle przynajmniej w teorii. W praktyce wyszło inaczej.

Przy backfście musiał zrobić ruch do przodu. W rezultacie nie trafiłem go w głowę, a zderzyły się nasze łokcie, tylko że mnie zabolalo bardziej. Od razu to wiedziałem. Piorunujący, ostry ból, który niczym błyskawica pomknął wzdłuż ramienia, a potem zaczął piec żywym ogniem, jakby moje kości zmieniły się w rozżarzone węgielki. Kombinację zakończyłem tak, jak chciałem – kolanem. I trafiłem go w brzuch, ale pomiędzy nami nie było dość przestrzeni, żeby to kopnięcie miało odpowiednią moc. Stęknął i odskoczył. Jeszcze próbowałem go uderzyć zwykłym prostym, ale znowu znalazł się poza moim zasięgiem. Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając białe ochraniacz na zęby,

a potem skinął lekko głową, jakby chciał mnie pochwalić za dobrą akcję.

Ruszyłem do przodu. Teraz to ja atakowałem. Kolejne ciosy, kolejne kopnięcia, ale z powodu łokcia nie miałem dość mocy w prawej ręce. Całe ramię mi drżało. I w końcu stało się to, co musiało się stać – zmęczyłem się.

Zacząłem się wycofywać. Potrzebowałem chwili, żeby odsapnąć, odpocząć, złapać oddech. Pomyślałem jeszcze, że pewnie przegram tę rundę. Trudno. Jedna moja, jedna jego. Wykończę go w trzeciej.

Doskoczył do mnie. Nagle zmienił pozycję. Teraz z przodu miał prawą nogę zamiast lewej. Wymierzył prawy prosty, który przyjąłem na gardę. Potem lewy. Z tym samym rezultatem. Lewy kopniak na wysokości mojego uda, od wewnętrznej strony. Trudniejszy do zablokowania, ale nie tak mocny, jak się obawiałem. Wiedziałem dlaczego. Odczytałem jego grę. Od razu kopnął po raz kolejny, tym razem wyżej, na wysokości brzucha. Middle kick.

Przy bloku należy skrócić ciałem w kierunku kopnięcia. Zastawiamy się zgiętą ręką. Należy pamiętać o tym, żeby nie opuszczać jej za nisko, bo wtedy przeciwnik może dostrzec swoją szansę i uderzyć w głowę.

Wszystko to wiedziałem. Wszystko to robiłem tysiące razy na treningach. Ale trening to jedno, a walka to drugie.

To była chyba wina wcześniejszego uderzenia w łokieć. Nie żeby doszło do jakiejś poważnej kontuzji. Należało jedynie wysmarować maścią, obłożyć lodem i za dwa dni nic by mnie nie bolało. Teraz jednak ramię, drżąc, mimowolnie powędrowało w dół. Nie zdążyłem tego poprawić.

Ale i tak powinienem dać radę. I tak powinienem się zasłonić, przynajmniej częściowo. Noga krótkowidza powędrowała jednak wyżej, niż się spodziewałem. Nie uderzył z boku, tylko od góry. Chociaż był niższy niż ja. Zobaczyłem jeszcze, jak na mnie spada, a potem tuż nad czołem poczułem ostre uderzenie, które wbiło mnie w ziemię. Nagle przed oczami zrobiło mi się ciemno.

To był amatorski turniej. Bez żadnej wielkiej stawki. Kil-kudziesięciu uczestników w różnym wieku. Kilkanaście walk.

Był tylko jeden nokaut.

I na deski poleciałem właśnie ja.

– Masz, napij się jeszcze – powiedział Wikuś, a ja, zaskoczony, wziąłem od niego kubek wody.

Zdałem sobie sprawę, że chociaż od jakiegoś czasu jestem przytomny, to świadomość wraca mi dopiero teraz. Tak się czasami zdarza. Jakby ciało i umysł działały na autopilocie bez tej zbędnej często nakładki, która nazywana jest osobowością.

Ostrożnie podsunąłem sobie kubek do ust i upiłem dwa łyki przyjemnie chłodnej wody. Chociaż muszę przyznać, że miała wyraźnie metaliczny posmak.

– Co się stało? – zapytałem.

– Padłeś jak długi. Potem próbowałeś się podnieść i znowu się przewróciłeś. Sędzia przerwał walkę. Nie odcięło cię zupełnie, ale nie było z tobą kontaktu – wyjaśnił Wikuś. – Coś bełkotałeś.

Kiwnąłem głową i od razu tego pożałowałem, bo pod moją czaszką doszło do małej eksplozji.

– Dlatego przed walką warto wiedzieć, z kim się bije – mruknąłem.

– Co masz na myśli?

– Ta jego noga. Podniósł ją wyżej, niż się spodziewałem. Skubany, musiał ćwiczyć karate przez długie lata.

– Nie przejmuj się – powiedział Wikuś. – To była walka sportowa. W rękawicach, z sędzią i tymi wszystkimi zasadami. Na ulicy jest zupełnie inaczej. Tam się walczy na serio, bez żadnych reguł, z zupełnie innym nastawieniem w głowie. Ty to masz. Tamten ty, nie ten. Na ulicy załatwiłbyś go bez problemu.

Nie rozumiałem, dlaczego Wikuś mi to wszystko opowiada. Nie potrzebowałem pocieszenia. To była dobra walka. Przegrałem, zdarza się, a to całe gadanie o ulicy nie miało przecież żadnego znaczenia. Biłem się na ringu, zgodnie z zasadami, które obaj znaliśmy i na które obaj się zgodziliśmy. Nawet na to, żeby walczyć bez kasku. Gdybyśmy je zostawili, i tak bym oberwał, ale pewnie ustałbym na nogach. I kto wie, może wtedy nasz pojedynek skończyłby się inaczej. Ale to też nie miało znaczenia. Faktów nie zmienię. Tym razem byłem po prostu gorszy, a krótkowidza pewnie już nigdy w życiu nie spotkam.

A potem dotarło do mnie, że Wikuś mówi zdecydowanie zbyt głośno. Nawet biorąc pod uwagę, że ciągle znajdowaliśmy się w zatłoczonej sali treningowej, a na ringu odbywał się już kolejny pojedynek. Jakies dwa metry od nas stał blondyn ze swoją dziewczyną, która żuła gumę i przeglądała coś w telefonie. Wikuś klepnął mnie w ramię i podszedł do nich. Przez chwilę o czymś rozmawiali przyciszonymi głosami, a może tylko ja ich nie słyszałem z powodu panującego wokół rejdachu. Potem pożegnali się, przybijając żółwika. Blondyn nieoczekiwanie machnął do mnie ręką, odpowiedziałem więc tym samym. Wikuś wrócił z nieudolnie ukrywanym zawodem wypisanym na twarzy, natomiast tamta dwójka ruszyła do wyjścia. Po dro-

dze zaczepił ją spocony chłopak, który chyba dopiero co zszedł z ringu, i poprosił o wspólne selfie.

– Co się dzieje? – zapytałem.

Wikuś przez chwilę zachowywał się tak, jakby nie dosłyszał pytania. Obracał głową na wszystkie strony, udawał, że przygląda się walce albo szuka kogoś pośród widzów. Nie zamierzałem jednak odpuszczać i wreszcie skapitulował. Westchnął i usiadł obok mnie na drewnianej ławie.

– Klub cienko przędzie – powiedział.

– No, to nigdy nie było najpopularniejsze miejsce w mieście – zauważyłem.

W czasach sieciówek z salami wypełnionymi nowoczesnym sprzętem treningowym, z zajęciami z zumbi, crossfitu czy cokolwiek teraz było modne, klub Wikusia był... hm... staroświecki. Maszyny miały ponad dwadzieścia lat, ale przecież to głównie żelastwo, co więc tam mogło się zepsuć. Sala do ćwiczenia wymagała remontu, tyle że to mogło jeszcze trochę poczekać. Chociaż nie obraziłbym się, gdyby pojawiły się tam nowe worki i tarcze, które choć trochę chronią trzymającego.

– Tak, ale teraz... – zawiesił głos. Ten temat był najwyraźniej dla niego niezręczny. – Rachunki nas zżerają. Pieprzona inflacja. Wszystko poszło w górę. Elektryczność, woda, wynajem. Do tego przychodzi coraz mniej osób. Ciężko jest.

– Chcesz mnie zwolnić? – zapytałem, chociaż niespecjalnie wierzyłem w taką ewentualność. Nie zaoszczędziłby na tym aż tak dużo, a tę robotę i tak ktoś musiał wykonywać.

– Gorzej.

– Gorzej? – powtórzyłem i wtedy do mnie dotarło. – Mieszkanie.

Skrzywił się, jakbym właśnie wbił mu igłę pod paznokiec.

– Sorry, stary... – wymruczał zmieszany. – Ale nie dam rady już ci go wynajmować za pół darmo.

– A ja nie dam rady płacić ci więcej.

– Wiem, ale potrzebuję pieniędzy. Żona mi wierci dziurę w brzuchu o to mieszkanie. Do tego dzieciaki. Wiesz, jak jest.

Wiedziałem. Pociągnąłem łyk z kubka. Metalowy posmak zniknął. Czyli to było coś ze mną, a nie z wodą. Przełknąłem i zacząłem się zastanawiać, jakie mam wyjścia. Od pewnego czasu praca w klubie stanowiła moje jedyne źródło zarobku. Skończyły się różne mniejsze i większe próby o pomoc i zlecenia na boku. Podejrzywałem o to Jaszczura, ale też nie mogłem mieć do niego żalu. Szczególnie że to on najpierw wyładował na chirurgicznym stole, potem z nogą w gipsie i wreszcie w gabinecie rehabilitanta. Była szansa, że kiedyś będzie w stanie chodzić bez laseczki. Mogłem poprosić o robotę Czarnego, choć tego akurat wolałem nie robić. Nigdy nie wiadomo, w co mnie wpakuje. Lubiłem go, ale instynktownie czułem, że lepiej trzymać się od niego z daleka. Poza tym Czarny zniknął z miasta kilka tygodni temu i od tego czasu go nie widziałem.

– Miałem nadzieję, że na tych zawodach trochę zarobimy – odezwał się Wikuś.

– Nie mów, że na mnie postawiłeś – powiedziałem.

Jego mina wystarczyła mi za całą odpowiedź. To wszystko zaczynało mieć sens. Brałem udział co prawda w zawodach amatorskich, ale nawet na takich imprezach pojawiali się koleśki, którzy lubią przekładać pieniądze z ręki do ręki, a przy okazji zarobić na prowizji. Wszystko oczywiście nieoficjalnie. To dlatego tak naciskał na mój udział. Wcale nie chodziło

o to, żeby dać przykład innym chłopakom z klubu. Po prostu widział we mnie pewniaka, który pozwoli mu podreperować budżet.

– Ile przegrałeś? – zapytałem.

– Dość – stwierdził.

– I dobrze. Gdybym wiedział, że o to chodzi, sam bym się podłożył.

– Jak widać, nie musiałeś.

Przez chwilę miałem ochotę go uderzyć. Nigdy nie zgodziłbym się na udział w tym turnieju, gdybym wiedział, że chce postawić na mnie pieniądze. A on świetnie zdawał sobie sprawę, że nielegalne zakłady – zresztą także te legalne – oznaczają dodatkowe ryzyko. Zawsze ktoś przegrywa, zawsze ktoś ma żal. Poza tym pieniądze to pokusa, żeby zagrać nieczysto. Nie chodzi tylko o podkładanie się i ustawianie walk. Można też dorzucić środek odurzający do bidonu z wodą przeciwnika i zrobić kilka innych rzeczy, żeby starcie skończyło się jedynym słusznym wynikiem. Potem jednak pomyślałem, że nie będę się wściekać. Wystarczyła mi świadomość, że Wikuś po powrocie do domu będzie musiał się tłumaczyć żonie z przegranych pieniędzy.

– Ale nie tylko o te zakłady chodziło – odezwał się po chwili, a ja zignorowałem liczbę mnogą w słowie „zakłady”. To był już jego problem, nie mój. – Miałem dla ciebie nagraną robotę. No, prawie nagraną.

– Blondynek, z którym gadałeś przed chwilą? – domyśliłem się.

Przytaknął.

– Kim on jest?

– Youtuberem albo tiktokerem – powiedział i machnął lekceważąco ręką. – Nie wiem, nie rozróżniam ich, chociaż moja córka ciągle siedzi na jednym albo drugim. Ten blondynek, jak go nazwałeś, ma w pizdu obserwujących. Kilkaset tysięcy albo milionów nawet. Trzepie jakąś niewyobrażalną kasę na reklamach i współpracach. Taką, że nawet sam już nie wie, na co ją wydawać. Znajomy znajomego nas ze sobą skontaktował. Chłopak zamierza wziąć udział w jednej z tych gal MMA, w których biją się różni celebryci, i szuka kogoś, kto go wytrenuje. Pomyślałem o tobie. Poćwiczylbyś z nim trochę, pokazał co i jak. A przy okazji zgarnął konkretną sumkę.

– I wtedy miałbym jak ci zapłacić za mieszkanie?

– Tak.

Popatrzyłem na Wikusia trochę życzliwszym okiem. Zadał sobie spory trud, żeby uknuć tę całą intrygę, chociaż przecież nie musiał. Z nas dwóch to ja byłem jego dłużnikiem, a nie na odwrót. Jeśli tylko by chciał, mógłby mnie wyrzucić z mieszkania z dnia na dzień, a ja i tak powinienem być mu wdzięczny za wszystko, co dla mnie zrobił.

– Ale nic z tego nie wyszło – powiedziałem.

– Przyszedł cię tutaj oglądać w akcji. Przekonać się, co potrafisz i czy to, co mu opowiedziałem, było prawdą. Zobaczył, co zobaczył, i stwierdził, że poszuka kogoś innego. Ale podziękował. Kazał ci powiedzieć, że fajnie się biłeś.

Zaśmiałem się krótko.

– To dlatego gadałeś te bzdury o walce na ulicy?

– Robiłem ci reklamę, stary.

Dopiłem wodę. Zgniotłem kubek w dłoni i rzuciłem nim do najbliższego kosza na śmieci. Odbił się od krawędzi i upadł

na podłogę. Podniosłem się z ławki, stękając, żeby go podnieść i wyrzucić. Ubiegł mnie jakiś dziesięcioletni chłopaczek. Na szczęście, bo ledwo wstałem, rozboleła mnie cała ciało i zakręciło mi się w głowie. Podparłem się ścianą w obawie, że jeszcze chwila i wyląduję na deskach po raz kolejny tego dnia.

– Wszystko w porządku? – zapytał Wikus.

Pokazałem mu uniesiony kciuk.

– Zawieź mnie do domu – poprosiłem. – Spakuję swoje rzeczy i jutro mieszkanie będzie wolne.

– Co ze sobą zrobisz?

– Jeśli mi pozwolisz, to przekimam noc lub dwie w klubie – powiedziałem.

– A potem?

Wzruszyłem ramionami.

– A potem coś wymyślę. Jak zawsze.